

Dusza

Pierwsze moje spotkanie z pojęciem nieskończoności zawdzięczałam puszcze holenderskiego kakao, podstawie mych śniadań. Jedną ze ścianek tej puszki zdobił obrazek rumianej i apetycznej chłopki w koronkowym czepcu, okazującej z uśmiechem także puszkę, zdobną tymże obrazkiem i trzymaną w lewym ręku. Doznawałem zawrotu głowy, wyobrażając sobie nieskończony ciąg obrazków przedstawiających niezliczoną ilość razy wciąż tę samą Holenderkę, która zmniejszając się coraz bardziej, ale – teoretycznie – nigdy nie mogąc zniknąć, przyglądała mi się kpiąco, pokazując swą podobiznę na puszcze kakao, takiej samej, na jakiej była namalowana.

Nie jestem daleki od myśli, że w to pierwotne pojęcie nieskończoności, nabyte w wieku lat około dziesięciu (?), wmieszał się czynnik mętny nieco i podejrzany: było coś oszałamiającego i wprost nieuchwytnego w tej młodej Holenderce, powtarzanej w nieskończoność, jak pomnożone być mogą w nieskończoność frywolne igraszki, odbite przez przemysłnie ustawione lustra buduaru.

Nieco później, gdy chodziłem już do szkoły i wiedziałem coś niecoś o kosmografii, miałem o duszy następujące wyobrażenie, o którym skądinąd wiedziałem, że było czystą fantazją. Było ono niemniej nierozzerwalnie związane z myślą o tym pojęciu: przekłute na wskroś długim drutem suche ciasteczko, rodzaj paluszka, które się wtyka między pręty klatki, aby służyło za pokarm ptaszkom.

Jest bardziej niż prawdopodobne, że obrazu tego dostarczyło mi doświadczenie, podane w pierwszej książce do geografii, które przytaczam tu tak, jak je zapamiętałem, nie troszcząc się zbytnio, czy cytuję dokładnie, czy nie. W płamę oliwy, wlanej do płynu, wbijamy igłę i wprawiamy ją w szybki ruch obrotowy; wciągnięta weń kropla, najpierw niemal kulista, poddana działaniu siły odśrodkowej, ulega nieznacznemu spłaszczeniu. Dzięki temu zjawisku możemy zrozumieć, że to samo stało się z ziemią, która nie jest całkiem kulista, ale nieco odkształcona, podobnie jak kropla oliwy, pod działaniem obrotu wokół osi biegunów. Gdy ruch obrotowy igły wzmacnia się, odkształce-

Michel Leiris L'âge d'homme



Okładka jednego z francuskich wydań *Wiek męski*.
Lucas Cranach Starszy *Judyta i Holofernes*,
Kunsthistorisches Museum, Wiedeń.

nie wzrasta, a wreszcie część masy oddziela się pod postacią pierścienia, jak to miało miejsce z Saturnem.

To upodobnienie duszy do paluszka czy też do naleśnika na Gromniczną, również przekłutego przez środek – polegało, jak mi się wydaje, na wierze w istnienie substancji mej duszy, której nie umiałem sobie wyobrazić inaczej niż jako ciała stałego, zbudowanego jednak z czegoś niezbyt gęstego, o dość nieregularnym kształcie – ciała zagnieżdżonego może w zachyłku czaszki, ale lotnego i nie-ważkiego jak ptaszki (paluszek) lub nietoperze (naleśnik miękki i rozłożysty jak skrzydła nietoperza, przewracany na patelni, w czerni pieca, w gęstym dymie i sadzy, wydaje się niezdarnie lecieć – tak jak polatują te przykre nocne ssaki).

za: *Wiek męski*, przeł. Teresa i Jan Błoński, PIW Warszawa 1972, s. 30-31

11 V 1980

Niedawno w pałacu prawdziwym – nie wiadomo, czy pałace wystawiane na zwiedzanie przez turystów można nazwać prawdziwymi – w pałacu w stylu francuskim, wersalskim, wymyślnie ogrodowym, letnim, bourbońskim, w pałacu, który dopiero co opuściła pycha Franco, w pałacu w La Granja przeżyłam znowu to olśnienie dziecinne nieskończonością lustra. W dodatku to tylko sztuczka architekta. W długiej, ale znowu niezbyt imponująco długiej, amfiladzie pokoiów drzwi zostały przybrane firankami, tyle. A jednak to te firanki są najważniejsze, zostały tak podwiązane i ułożone, że tworzą tunel lustrzany, w dodatku mącąc zupełnie nasze przyzwyczajenia. W lustrze wszystko zaczyna się od nas i my przeważnie możemy zbliżyć się tylko lub oddalić od tafla, jeśli nie jesteśmy Alicją, nie wejdziemy w pociągające nas przestrzenie. A tutaj – każdy pokój inny, bogaty, ubrany, zbiór zegarów, figur, boazerii, kwiatów, waz, stołów, ach, i żyrandole, to one rozświetlają nasze posuwanie się w oszałamiającym zimnie – pałac to letni, więc nie ogrzewany w mrozy zimowe, żyrandole dopiero prześwietlając podwiązane w drzwiach firanki, dają im życie ułudy. W lustrze na końcu i na początku spotykamy tylko nas, a tu w pierwszym skrzydle pałacu, w pierwszym ciągu ułudy wzroku spostrzegam nagle, że biała Wenus, którą widzieliśmy już od wejścia, zbliża się niepokojąco i lądujemy u jej stóp, ale mimo że przecięła nieskończone perspektywy i skupiła je na swym pępku, daje się ominąć. Dalej, zakręcając, wplątujemy się w nowe dziwo, przekraczamy perspektywę.

„Zakręcając”, toż ja całe dzieciństwo, całe życie marzyłam, żeby raz chociaż przekroczyć możliwość i wejść, zakręcić w tunelu lustrzanym. Moja miłość do obrazów Piranesiego i Eschera ma w tej tęsknocie niewątpliwe źródło.

Zakręcić i sprawdzić, doznać, przeżyć. Niech się wyjawia, czy to tunele tęczy, czy grząskie przestrzenie, w które wciąga Król Olch. Niech się zdecyduje za zakrętem, czy zwycięży nadzieja, a jeśli zobaczę czarne słońce? Niech tak będzie, niech zobaczę, niech pozbędę się niepewności życia, to jest nie zaspokajanej nigdy tęsknoty poznania.

Król buduje sobie pałac z zakrętami w ułudnej przestrzeni i w dodatku w głównym skrzydle perspektywa „zaczyna”? „kończy się”? lustrem, tak, architekt na żołdzie króla Hiszpanii spełnił przed mym urodzeniem moje najtajniejsze marzenie. I pomyśleć, że zrobione to było niby tylko, żeby nadażyć za pychą władzy, żeby ułudnie powiększyć pałac, żeby bardziej był podobny do Wersalu, do tej pustej, strasznej i imponującej landary. Tak. Jak nie wersalska sala lustrzana, to chociaż system firanek. A czy dla architekta, może dla króla nawet, miały firanki znaczenie tajemnicze, swoją alchemię przestrzeni? Miały?

MAŁGORZATA
BARANOWSKA

Dusza

14 V 1980

Toaletka, słoń, a teraz nawet kotek – przedmiot-mebel, przedmioty-zabawki. Najpierw odkrycie siebie-przedmiotu, potem odkrycie tajemnicy przedmiotu-nie-siebie. Na tym się zakończyło. Później nie siebie do przedmiotów, lecz przedmioty do siebie usiłowałam przyrównać. Opierały się, kanty miały, nic nie mówiły, nawet lalka. Nie lubiłam jej specjalnie za niemość, za zimną twarz, ładna była i głupia, lepiej było się bawić kafelkami, cegłami, kocami, maszynką elektryczną, najtrudniej było dotknąć karbidówki, chowali, wieszali wysoko, mury były ciekawe, wióry, deski sosnowe, klocki, ale już nie było toaletki, i słoń przecież był cudzy. Chyba wtedy dowiedziałam się o duszy.

Odtąd wplątałam się w nieskończone wzloty, upadki, rojenia, skoki, wchodzenia po zgęszczonych, rosnących schodach złudnych perspektyw. Miałam trzy lata i nie wiedziałam, co z nią począć. Nie dawał mi spokoju dualizm, a w nim najbardziej posiadanie. Jeśli ciało ma duszę, to czy dusza ma ciało? Od początku byłam przekonana o jej prymacie nad ciałem. Wyobraziłam sobie, że coś ulotnego, tajemniczego, do którego trzeba było aż trzech lat, żeby to odkryć, całego życia trzeba było, musi być ważne i pierwsze. Właściwie dusza była jeszcze tylko pojawiającym się, intrygującym pojęciem. Miałam ochotę jak najszybciej pożyć je wszystkimi siłami intuicji i zmysłów, ale opierało się.

za: *Pamiętnik mistyczny*, Gdańsk 1998, s. 8-10 i 13